Rozmaitości

Dnia 18. Grudnia — Nr. 51. — Roku 1841.

PACYJENTKA.

1.

Muzyka poczęła grać w teatrze, loże i zamknięte miejsca, poczęły się napełniać, lornetki błyszczały i wszystkie jak bateryje zmierzały w jednę ložę.

»Wiész co, niczego!«

»Ale nie niczego, to prawdziwy cud piękności! Nie wiész, jak się nazywa?«

»Nie wiém, to jakaś świeża piękność.«

Ten krótki dyskurs niech służy za próbkę dyskursów, które się toczyły, jak długie i nudne waryjacyje na piękne, prawdziwie piękne *tema,* w loży piérwszego piętra.

Byłato brunetka, smagławo blada, wesołych oczu, jedna z tych arystokratyczno-polskich fizyjonomij.

Dama naszéj powieści zdawała się dosyć wzwyczajoną w to uczucie, które w każdéj kobiécie sprawia mimowolny hołd, oddany jéj piękności. Przyjęła go z pozorną obojętnością, lornetowała nawzajem, obracała się z uprzejmością do swojego towarzysza, którego lodowata twarz i wyrachowany uśmiech, zdawały się być umyślnie przeznaczonémi do podniesienia kontrastem wesołych i niewinnych rysów pięknéj dziéwczyny. Na któréj twarzy ta lornetka dłużéj spoczęła, jakie myśli powstawały natenczas w téj głowie, któż to powie? Jeżeli mamy dać wiarę starym Grekom, była w Egipcie kamienna głowa Memnona, która promieniami wschodzącego słońca oświécona, dziwną wydawała harmoniję. W Europie zaś, jest mnóstwo głów takich, (z jakiéj się materyi składają, tego nie wiém) które oświetlone promieniami oczu pięknéj dziéwczyny, szczególnémi się myślami napełniają.

Dłużéj jednakowo niż zwyczajnie spoczęła ta lornetka na dwóch mężczyznach, których powiérzchowność i odmienny krój sukni, interesownymi czyniły.

»To Henryk!« szepnęła bohatérka do swojego sąsiada, który szybko rzuciwszy okiem na wskazane miejsce, przyświadczając »Henryk«, odpowiedział z pewnym wyrazem podziwienia, o ile na twarzy jego jakikolwiek wyraz odkryć było można.

»Ciekawym, kto ten drugi.«

»I ja ciekawam mój ojcze; szczególnie dumna fizyjonomija.«

»Może jaki Hiszpan przyjechał z Henrykiem?«

Zwróciły się nagle oczy jednego z tych mężczyzn na ložę powszechnéj uwagi.

»Ach, patrzaj Henryku, co za dziéwczyna!«

»To Aniela!« rzekł Henryk. »Przepraszam cię, że muszę pójść; zaraz się wracam.«

Porzucił krzesła i pojawił się w loży.

»Już eś wrócił mości hrabio, i czemużto tak długo bawiłeś?« rzekła młoda dziéwczyna.

»Zabawiłem nieco dłużéj w Hiszpanii, niż zamyślałem, ale bynajmniéj nie spodziewałem się już dzisiejszego wieczora zobaczyć pana hrabiego.«

»Będziemy tu bawić całą zimę«, odrzekł hrabia. »Odmiana miejsca stała mi się pożądaną.«

»Pani nie tęsknisz za Dreznem?« zapytał Henryk.

»Jeszcze nie miałam dosyć czasu; dopiéro drugi dzień, jakeśmy tu przyjechali; ale

spodziéwam się, że się pan będziesz starał nie pozwolić mi tęsknić za niém, i zostaniesz przez zimę tutaj.«

»Miałem w planie przepędzić karnawał w Warszawie, lecz jeżeli moja obecność stała się życzeniem pani, najchętniéj go zmieniam.«

»Musiało być panu przykro bez towarzystwa odprawiać tak długą podróż.«

»Właśnie dla tego namówiłem młodego Hiszpana Markiza Aldangez na przejazdkę do naszych lodów.«

»Widno w jego fizyjonomii coś tak dumnego, że zaraz w nim odkryłam mieszkańca Pirenejów.«

»Zrobiłem uważną moję córkę na szczególną fizyjonomiję pańskiego towarzysza«, rzekł ojciec poprawiając błąd córki.

»Gdybyś pani tak biegłą była w odkrywaniu charakterów uczuć, jak charakterów narodowości, możebyś prócz dumy hiszpańskiéj podziwianie własnéj piękności była odkryła.«

»Mam dobrą lornetkę, mości hrabio, ale w tém oddaleniu, prócz jedynéj dumy, nic więcéj odkryć nie mogłam.«

»O jeżeli tak« odrzekł Henryk, »to mój przyjaciel złorzeczyć będzie temu oddaleniu, téj przeszkodzie, którą jedno życzenie pani usunąć podoła.«

Córka spojrzała na ojca.

»Przyjaciel pana Henryka może być pewnym, że u nas będzie zawsze mile widzianym«, odpowiedział hrabia. Zamieniali karty wizytowe. Pożegnał się Henryk i na nowo zajął swe miejsce na zamkniętych krzesłach. Jeszcze się teatr nie skończył, gdy powstali obadwaj i wyszli.

2.

W zajezdnym domu, w pięknym wielkim pokoju, siedziało dwóch mężczyzn na kanapie. Jeden z nich zatopiony w myślach milczał, drugi ziéwał.

Nie zastanawiano się dotychczas nad ziéwaniem z tą głębokością, jakiejby ważność tego przedmiotu wymagała. Pewien filozof całą różnicę między małpą a człowiekiem w ziéwaniu wyszukał. Ziéwanie jestto *kwintesencyja* wszystkich doświadczeń, ostatni rezultat światowego użycia, nagrobek każdéj uciechy!

Nie długo jednak trwał ten stan doskonałości. »Czyś się zakochał, że tak milczysz«, rzekł Henryk do swojego towarzysza. »Jak ci się teatr podobał?«

»Nadzwyczajnie« odrzekł jego towarzysz. »Powiadam ci, że jestem zaczarowany!«

»Co?... Ja się pytam, jak ci się teatr podobał?«

»A ja myślę o hrabiance« odrzekł zmiészany jego przyjaciel. »Muszę ci się przyznać, że mię żadna kobiéta w życiu jeszcze tak nie zajęła!«

»Mówiłem z nią o tobie«, odpowiedział Henryk, »i poznałem, że się jéj podobasz. A co więcéj — ojciec pozwala, żebyś bywał w domu.«

»A to jakim sposobem?« zawołał zdziwiony nasz bohatér.

Smiejąc się, rzekł hrabia Henryk: »Bo to nie wiész jeszcze, żeś ty Grand hiszpański Don Aldangez, pan obszérnych włości, któremu się zachciało zrobić małą przejazdkę w krainę lodów.«

»Ach, nie żartuj sobie!«

»Istotnie tak cię zarekomendowałem. Cóż ci szkodzi, grać całą zimę rolę pana? Nareszcie mówmy otwarcie: Znamy się od lat szkolnych, różne były wprawdzie nasze drogi, tyś został po długo-letniéj pracy zwolennikiem Eskulapa, ja, już urodziłem się panem, ale spólność życzeń i temperamentu...«

»Tylko jedna różnica, różnica urodzenia«, odrzekł smutno Grand hiszpański, »stanowi między nami i naszémi losami tak wielki przedział, że go żadna spólność temperamentu zapełnić nie potrafi! Ty od losu obdarzony wszystkiém, co tylko życie uprzyjemnić może, nie możesz pojąć, co to jest być przymuszonym w pocie czoła pracować na nędzne utrzymanie życia, i nie miéć nadziei zaspokojenia wszystkich owych delikatnych żądz, do których nam wyższe wychowanie i usposobienie, niejakie prawo nadało.«

»Czuję całą przykrość twojego losu« rzekł hrabia, »znając dokładnie usposobienie twojego umysłu; ale uspokój się: te wyższe stany, w których ty zdajesz się tyle upatrywać szczęścia, nie raz kaléczy oścień zgryzoty — i my nie żyjemy w raju!«

»Wy żyjecie w raju w porównaniu z nami!« odrzekł żywo Karol. »Wy jesteście te błyszczące wyjątki z reguły, którą anioł wypędzając piérwszych rodziców z raju ustanowił, mówiąc: W pocie czoła będziesz zarabiał na chléb twój.«

»Prawd «, odrzekł młody hrabia, »wy jesteście skazani na ciągłą i mozolną pracę; ale czyliż właśnie to staranie się o zwyczajne potrzeby codziennego życia, nie uwalnia was od téj choroby nudów, które są szczególnym wyższych stanów przywilejem? Gdybyśmy nareszcie wszystkie szczęśliwe chwile biédnych i bogatych obrachować mogli, kto wié, czyliby się nie pokazała równo-waga; bo jedna szczęśliwa chwila w waszém skołataném życiu, zaważyłaby wszystkie nasze tak jednostajne i nudne uciechy, które właśnie dla tego, że nam zawsze są przystępne, tracą ten urok rzadkości, który jest prawdziwą solą chwil szczęśliwych.«

»O nie zazdrościłbyś im nigdy téj rzadkości«, rzekł Karol, »gdybyś się zastanowił, ile pracy i wytrwania potrzebuje to stanowisko, na którém Opatrzność biédnych postawić chciała, stanowisko tém trudniejsze, im więcéj oświaty z niém się łączy. Prosty zarobnik, który w to poziome wdrożony życie, stracił ten właściwy wstyd targowania się o swoję pracę, człowiek z grubémi uczuciami, przechodzi łatwo przez świat. Ale pomyśl sobie człowieka, siebie naprzykład; gdyby ci los w téj chwili wszystko odebrał, a ty widziałbyś się przymuszonym żyć li z talentów twoich, dać się taksować, oceniać pracę i zdolności twoje, jak konia oceniają?... Właśnie wychowanie twoje byłoby twojém nieszczęściem, właśnie to wykształcenie delikatne, które ci daje tyle wziętości w życiu salonowém, byłoby twojém nieszczęściem w życiu, w którém na kawałek chleba trzeba tak wiele, tak długo pracować.«

»Nie! zaiste«, rzekł młody hrabia, »ty nie jesteś stworzonym pędzić twe życie między motłochem. Bądź tylko śmiałym, masz talent i znasz ludzi, możesz się ożenić bogato, i jednym śmiałym krokiem wyrwać się z tych nędznych stosunków. Nie mówmy więcéj o tém, w piątek otwarty salon... pójdziemy.«

»Z kądże twoja przyjaźń z tym domem?« zapytał nasz Hiszpan.

»Pytaj się raczéj, z kąd nieprzyjaźń?... nasze familije nie nawidzą się, a zimna powłoka etykiety i grzeczności dodała téj nienawiści niebezpieczeństwa, nie ujmując jéj jadu. Ten zimny i wyrachowany grzecznuś, ojciec twojéj donny, którego cały majątek jest nabytkiem niesłusznego pieniactwa, stał się przyczyną śmierci matki mojéj, i gdyby nie mój ojciec... byłoby mu się udało wydrzéć nam jeszcze i tę część dóbr naszych, które przy nas jeszcze pozostały.« Zamilkł i z złośliwym uśmiéchem »w piątek« rzekł, »w piątek muszę cię zarekomendować.«

3.

Rzęsisto oświetlony salon stał otworem. Na kanapie siedziało grono matron lub poetycznie mówiąc, jesień towarzystwa. Koło fortepijanu gromadziła się wiosna, to jest kilka młodych panienek i kawalerowie; lato składało się z samych mężczyzn, którzy grali w karty w przybocznym pokoju; zima miałaby jednę zwolenniczkę, daleką krewnę pana domu, -- lecz i tę damę z winnéj dla płci pięknéj delikatności, do jesieni liczę.

»Jakże panie markizie podobają ci się śnieżne kraje?« ozwał się głos kobiécy koło fortepijanu językiem francuzkim.

»Podziwiam dowcip natury«, odrzekł nasz Hiszpan także francuzkim językiem, »która widząc, że niepodobna ozdobić ziemi, wszystkiémi wdziękami ozdobiła ludzi.«

»Prawdę mówisz markizie«, rzekł mężczyzna już nie w wiośnie życia, średniego wzrostu, z pewném zadowoleniem rzucając okiem w lustro. »Nie mogą się mierzyć cudzoziemcy z naszą młodzieżą!«

»Z tąd zapewne pochodzi ta trudność podobania się waszym damom«, odrzekł Hiszpan rzucając okiem na siedzącą naprzeciw osobę.

»Więc pan już byłeś w tak smutném położeniu zrobienia téj uwagi«, odrzekł ten sam głos kobiécy.

Dyskurs został przerwanym przyjściem dwóch osób. Podczas, gdy powszechna uwaga była zwróconą na świéżo przybyłych, Hiszpan pospieszył się z odpowiedzią:

»Nie byłem jeszcze w tém położeniu«, rzekł, »ten dzisiejszy wieczór mię przekonywa, że łatwo w niém być mogę.«

Lekki rumieniec okrył lice pięknéj hrabianki, znanéj nam z loży piérwszego piętra; zmięszanéj nieco, bardzo było na dobie przybycie ojca z dwoma mężczyznami młodymi.

»Pan baron Rachmilski«, rzekł ojciec, a obracając się ku baronowi: »to moja córka... Panie markizie pozwolisz sobie przedstawić pana hrabiego S....« a obracając się do hrabiego: »markiz Aldangez, przyjaciel pana Henryka —; ale zapominasz o przyjacielu swoim szanowny markizie, którego nieszczęście w kartach prześladuje.«

»Towarzystwo córki pana zrobiło«, odpowiedział markiz, »żem zapomniał o powinnościach przyjaźni.« — Na twarzy hrabiego S.... widny był przelot niezadowolenia, które rosło w miarę,

jak przypatrzenie się bliższe pięknym rysom markiza, groziło niejaką obawą kochankowi, czyli raczéj kochającemu piękną hrabiankę.

»Może przytomność pańska przyniesie mu szczęście«, rzekł gospodarz do markiza, dostrzegłszy chmurę na czole hrabiego S....«

Niechętnie się skłonił nasz Hiszpan do życzeń gospodarza, który z wyrachowaną biegłością uprzątnał pole majętnemu i z wysokiéj familii pochodzącemu kochankowi swéj córki.

Nie chcąc dłużéj nudzić czytelników dyskursami, któreby się bynajmniéj nie przyczyniły do wyjaśnienia naszéj powieści, przystąpię od razu do dwóch mężczyzn, którzy w fiakrze jechali ku hotelowi.

»Jakże się bawiłeś dzisiejszego wieczora?«

»Grałem szczęśliwie; 80 dukatów wygrałem« odrzekł jego towarzysz.

»A panna Aniela łaskawa?« zapytał znowu dawniejszy głos.

»Mówiła ze mną więcéj, niż z innymi.« Zajechał powóz do hotelu i przerwał rozmowę.

4.

Kilka miesięcy ubiegło już od téj chwili. Był już początek jesieni: dzień piękny, słońce się miało ku zachodowi i wyglądało z-za gór, jakby się jeszcze raz napatrzyć chciało téj ziemi; drzewa kąpały się w żółtawém jego świetle, które odbijając się o okna letniego pałacu, w tysiączne promienie się rozstrzeliwało; kwiaty ogrodowe szeptały sobie dobranoc, piérwsze gwiazdy pokazywały się już na niebie. Piękny byłto krajobraz, ale nad wszystko piękną była *stafaża*. Młoda dziéwczyna siedziała na ławeczce ogrodowéj, koło jéj nóg wielki wazon *Aloesu* rozwijał swe liście, na których różne cyfry rznięte, zdawały się nakształt *hieroglifów* chować pod swoją pieczęcią wspomnienia miłości.

Szczęśliwe kwiaty, gdybyście wy mówić umiały, lub gdyby kto odkrył klucz do wytłumaczenia tych *hieroglifów*, możeby z liści waszych odpisywano najpiękniejsze powieści, które drzémią nito sznurami skrępowane w charakterach powyrzynanych dłonią kochanków.

Jakąż nową cyfrą zbogaca twoje liście ta młoda dziéwczyna? Nie zdradziłżebyś jéj tajemnicy? co znaczy to *A* samotne, i łza w jéj oku? Czyli ma być bolesną adnotacyją do téj jedynéj litery, czyli wyskokiem miotanego sprzecznémi uczuciami serca dziéwczyny, siéroty nie mającéj matki, którąby jéj doradziła, jaką cyfrę dołożyć do cyfry swojego imienia.

Młoda hrabianka — to była ona — była piękną i wiedziała o tém, była próżną, nawet nieco zanadto biegłą w sztuce podobania się, ale miała niepopsute serce, a w jéj życiu zimném, etykietalném, nawet nudném tożsamością podchlebstw, objawiły się czasem chwile, w których domagała się głębszego współczucia, naturalniejszéj rozmowy, słowem miłości.

Zaszeleściły liście, zobaczyła przed sobą hrabiego S...

»Czy przebaczysz mi pani« rzekł, »ten występek, żem śmiał przerywać jéj samotność?«

»Przebaczam« odpowiedziała nasza bohatérka, »pod tym jedynym warunkiem, abyś pan nie wspominał mi o mojéj piękności.«

»Zaiste trudny warunek!«

»Trudny? więc pan nie masz ze mną o czém ważniejszém pomówić?«

»Łaskawa pani« rzekł hrabia, a ściśnione usta i promienięjące oko pokazywały ten stan rezygnacyi ostatecznéj, która zwykła bywać wpływem zniecierpliwionego oczekiwania. »Ja już dawno chciałem dowiedzieć się od pani saméj rzeczy najważniejszéj dla mnie, słowem — daruj pani mojéj śmiałości — chciałbym sie dowiedzieć raz stanowczo: czy mogę mieć nadzieję...« tu wstrzymał się jego głos, poczém ciszéj, ale nie bez siły dodał: »Czy mogę mieć nadzieję, nazywać cię pani droższém imieniem?«

Niespodziéwany ten napad zmieszał młodą dziéwczynę, ale z zwykłą płci pięknéj w podobnych przygodach biegłością: »Mości hrabio«, rzekła, »czy moje postępowanie ku tobie usprawiedliwia twoję niecierpliwość?«

»Nie, łaskawa pani«, odrzekł hrabia. »Twoje postępowanie jest ze wszystkimi jednakowe; lecz ja uważam za lekkomyślność, tracić czas na pozyskanie względów osoby, o któréj sercu za nadto wiele trzymam, ażebym miał myśléć, że moje zabiegi i próżne podziwianie, jakiekolwiek zadowolenie jéj przynieśćby mogły.«

Czując ciérpkość tego wyrzutu, rzekła obrażona dziéwczyna: »Nie omyliłeś się mości hrabio; dla tego cię uwalniam od twoich zabiegów.« Ten rodzaj czarnéj zupy, który tak mało do odgadywania zostawił hrabiemu, ubódł go do żywego, powstał i w milczeniu się oddalił.

Znowu była samotną. Hrabia był człowiek szlachetny, rozumny i majętny, — trzy przymioty tak rzadko połączone — i byłto człowiek praktyczny, którego umiarkowany umysł i zdrowy pogląd na rzeczy, mógłby ustalić szczęście młodéj osoby. Czuła to dobrze, nie mogła nawet powiedzieć, żeby go nie lubiła; jednakowo jéj nie żal, że go odrzuciła. Nie dziwię się temu, stara to prawda: Serce nie ma rozumu! Jednakowo nigdy jeszcze w swém życiu nie uczuła tak żywo, tak boleśnie braku przyjaźni. Różne uczucia ściskały jéj serce, wiły się po jéj piersi, aż

ten ból, co kamieniem cięży na jéj duszy, roztopił się i łzami spłynął po jéj licach. Patrzała na próżne miejsce przy swojéj cyfrze i nie postrzegła zbliżającego się markiza Aldangez, chociaż ten stał przy niéj wpatrując się w jéj postać, w jéj oko zapłakane, z rozkoszą i z całym żarem piérwszéj miłości.

Czując nieprzyzwoitość dłuższego milczenia, przystąpił bliżéj i zaszeleścił nogą nieco mocniéj w zeschłéj trawie, chcąc zwrócić na siebie jéj uwagę.

»Ach to markiz!« zawołała hrabianka. »Witam cię panie markizie, jeszczem z tobą nie mówiła nigdy w ogrodzie.«

»Nigdy?« odrzekł markiz. »Czyliż pani już zapomniała o podwieczorku w wili pana Henryka? Ja mam lepszą pamięć, a chociaż bym mógł zapomnieć, róża, którą mi pani wtenczas darowałaś, nie pozwoli mi jéj zapomnieć.«

»A, przypominam sobie naszę grę w fanty«, odpowiedziała hrabianka.

»Więc ten zadatek nie miał innego znaczenia?« zawołał nasz Hiszpan z smutném uczuciem rozczarowania.

»Jakież znaczenie chciałbyś mu markizie przypisać?« zapytała młoda dziéwczyna.

»Każdy upominek od pani, który mi przypomina chwile z tobą spędzone, ma tyle dla mnie znaczenia, że więcéj mu przypisywać, byłoby zbyt śmiało; poważyłem się jednak pieścić nadzieję, że oddanie tego kwiatu, tak piękne mającego znaczenie w języku kwiatów, daje mi niejakie prawo do twojéj przyjaźni.«

Z bojaźliwym uśmiéchem spuszczając oczy, rzekła hrabianka: »Jeżeli sobie tego życzysz markizie, pozwalam na te prawa.«

»Czy ja sobie życzę? pytaj pani, czy ja sobie zbawienia życzę! Czémże jest dla mnie życie bez twojéj przyjaźni, bez twojéj......« urwał mowę a śmiało rzucając się w *Rubikon* swojego romansu i biorąc ją za rękę, »bez twojéj miłości« upadłszy jéj do nóg zawołał. — Hrabianka obróciła się ku liściom Aloesu i kryjąc swoje pomiészanie przed klęczącym Hiszpanem, wyrzynała jakąś cyfrę.—Hiszpan cisnął jednę jéj rękę do swoich ust: »Pani« zawołał, »czyli tylko milczenie jest twoją odpowiedzią?«

»Markizie« rzekła wyrywając mu rękę, »ja się już oddalić muszę, ten liść niech ci odpowié.«

Hiszpan wpatrzył się w liść jak w księgę sybiliczną swojéj przyszłości, a ostatni promień słońca ozłacając twarz jego i liść kwiatu, wskazał związane cyfry *A.* (Aniela) i *C.* (Carlos) i promieniejące oczy Hiszpana.

(Dokończenie nastąpi.)

DWÓJKA JASKÓŁEK W KOŚCIÓŁKU.

A wyż tu po co niebios żeglarze?
Wamże tu miejsce, wam tu siedziba?
Tu huczy organ, płoną ołtarze,
Tu modła ludu bije w sklepienia;
A wy spokojnie, bez ulęknienia
Ni dwaj aniołki błożycie w parze?...
Która was, mówcie, puściła szyba,
Z jakiéj przygody, w jakiéj potrzebie?...
Lube zalotki z krain błękitu,
Coście wolności rajskiéj obrazem
Powietrzne wiosła wzięły w jéj znaku,
Wamże nie bujać w powietrznym szlaku?
Toż musnąć ziemię, zatonąć w niebie,
Zwidzić śmiertelnych i Bogów razem,
Mało wam rozkosz, mało zachwytu!

Dusze niewinne, błogie istoty!
Nie mając woli, z rozumu pychy,
Nie macie myślą w sercu zgryzoty;
Jakaż wam wina, jakież wam grzéchy?
Wam ni pokuty, ni modlitw trzeba,
Dla was wyroki były łaskawsze,
Wam przecież stoją otworem nieba,
Wyście niebianki zawsze i zawsze!
Nas przed kolébką czekał grzéch wielki,
Nimeśmy byli, bicz ukarania;
Za ciérpki owoc z drzewa poznania,
Mamy w pokutę grzéch rodzicielki!—

Spojrzyjcie tutaj—dola opłakana:
»Dzień sądu przyjdzie!« grzmią słowa kapłana,
A już się człowiek jakby robak wije—
Dumna kolumna padła na kolana,
I w znak pokuty we łzach o pierś bije,
I młotem skruchy chce wystraszyć żmiję;
A próżno szuka ulgi w tém kowadle,
Bo potwór pełza w głębokiém źwiérciadle,
I coraz mściwiéj, srożéj się rozpienia,
I straszniéj rośnie w źrenicy sumienia!...

W padole płaczu nié ma nam zbawienia,
Z nas klątwa winy w tém życiu nie spadnie,
W rozterce zawsze ze stróżem aniołem,
Pochutnych żądeł nie ujdziem' napaści;
Ziemia nas dała, ziemi bijem' czołem,
Tam metal mieszka, który nami władnie,
Za nim w piekielne kopiem' się przepaści!...

Spłoszone jękiem już ulatujecie?
To woźny świata ozwał się z dzwonicy;
Nie jednę duszę w podróży zdybiecie,
Którą on wysłał z téj płaczu stolicy!
Jeżeli przeszły bez żalu i skruchy,
A lot im ciężą zmysłowe straszydła,
Na wasze weźcież, o, weźcie je skrzydła,
I w niebo wnieście, unichione duchy!

i-n-k.

ODRADZANIE SIĘ ORYJENTU.

(Z francuzkiego pana Quinet.)

Wszelkie Objawienie ma początek na Wschodzie, na Zachodzie przechodzi w Podanie. Oba te światy pociągają się ku sobie, utwierdzają się wzajemnie i tak świadomość wspólnéj utrzymują kolébki; wnet jak dwie nieprzyjaźne sekty odtrącają się nawzajem, i w inne podobnie jak ich rzéki, zwracają się strony. Tracą się z oczu, aby się znowu kiedyś odszukać i na nowo spłynąć. — Widnokrąg ludu hebrejskiego nie sięga za Mezopotamiję. Indowie i Żydzi oderwani od siebie, rozwijali się z osobna. Lud żydowski nie dopytywał się swéj przeszłości; ulubieniec Boga, piérworodny syn Najwyższego, na cóż innego miał szukać pochodzenia? Przeciwnie bogów Grecyi wydało na świat piérwsze Europy z Azyją zetknięcie się, przeto Grecy powinni byli przechowywać świadomość tego pochodzenia; jednakowo puścili ją w niepamięć. Grecyja miała azyjatyckie dogmata, lecz nie była tego świadoma. Mniemała, że sama Olimp stworzyła, a jeźli spostrzegła w religii nad Nilem lub Eufratem jakowe podobieństwo do swojéj; była téj myśli, że Azyja wykradła jéj bogów, i że świat cały tylko tym duchem czuje i myśli, którym go Grecyja natchnęła. Piérwszy Herodot w podróżach po Egipcie i Fenicyi uznał, że rodacy jego są w dumném uprzedzeniu, lecz z téj zarozumiałości wyléczyć ich nie mógł. Zachwiać ich w tém uprzedzeniu, było przeznaczono Aleksandrowi. Wyższe przeczucie wiodło go do kolébki pokoleń, których zastępcą był pod ten czas naród grecki. Nie opiéra się aż w Indyjach i tam odsłania źródło i piérwsze początki oświaty greckiéj. Po śmierci Aleksandra słabnie niezadługo i duch grecki, i jak gdyby jego istnienie było do dawnego uprzedzenia przykute, umiéra wraz z tém uprzedzeniem. Zetknięcie się z Azyją jeszcze nie ustaje. Aleksandryja jest tak długo w stosunkach z Indyją, pokąd chrześcijaństwo na powtórném, całkowitém spłynieniu Zachodu ze Wschodem, nie wyciska swéj pieczęci. W średnich wiekach oba te światy oderwały się znowu od siebie. Wojen krzyżackich celem jest tylko Golgotha. Wyższéj Azyi z jéj rozkoszną przyrodą, jako kraju zgubnych czarodziejstw i wyuzdanych chuci, nawet i poznać nie chciano. Dopóki tylko ascetyczny mistycyzm na Zachodzie przemagał, węzły łączące Wschód ze Zachodem, były stargane. Dopiéro w piętnastém stuleciu, gdy przemysł i handel uzacniły spotwarzoną materyję, odkryciem przylądka Dobréj Nadziei, Azyja z całym swym blaskiem zbliżyła się do Europy.

Ośmnastemu stuleciu potrzeba przyznać jakoweś przeczucie odrodzenia się Wschodu. W prawdzie przeczucie to łączyło się ściśle z skeptycyzmem, chcącym wynaleźć w dawnym Oryjencie naród, któryby na równi stał z hebrejskim. Nawet Encyklopedyści francuzcy nic więcéj jak Herodot wiedzieli o Persyi i Indyi. W angielskich biblijotekach znachodzono ułamki indyjskich i perskich ksiąg, ale w Europie nikt nie znał i abecadła tych pism. Tysiące lat butwiały w ukryciu te szczątki dawnéj oświaty. A któż rozwiązał usta tym niemym świadkom oryjentalnéj oświaty? Kto odkrył klucz do tych pism? Ta sława przynależy Francuzowi Anquetilowi Duperron. Jedna kartka z świętych ksiąg Parsów wpadła mu przypadkiem do rąk. Na widok tajemniczych zygzaków płonie żądzą uczynić przystępną sobie i światu, ukrytą w nich mądrość, i marzy tylko o nauczeniu się tego języka, którego w Europie nikt nie posiada. Jedynie w tym celu 23letni młodzieniec udaje się jako żołniérz do Indyj. Tu przybywszy obiega pieszo Eldorado swojéj mądrości, aby tém łatwiéj uspione wspomnienia rozbudzić, z mogilnéj wydrzéć cieśni. Pistolet za pasem i biblija w tłómoczku towarzyszą mu wszędzie. Równie od Francuzów jak i Anglików toczących z sobą wojnę, niepokojony przybywa nareszcie do Suratty. Tu napotyka perskich kapłanów, wiernych dotychczas czcicieli ognia, którzy strzegą na wygnaniu szczątków pism po dawnych Magach. Jego ciekawość wznieca podejrzenie kapłanów; dopiéro po dziesięcio-letnim między nimi pobycie, udaje mu się pozyskać przywiązanie najuczeńszego. Ten naucza go Zcendu, świętéj swych przodków mowy, równie od dawna martwéj jak Samskrit na Oryjencie, lub jak grecka i rzymska mowa w Europie. Spełniona więc nadzieja jego całego życia. W jego ręku są święte księgi, których żaden Europejczyk nie widział, bo samo spojrzenie obcego, jak utrzymują kapłani, plami te księgi. Czyta, przepisuje, przekłada. Podobnie jak *Kamoens*, z rozbicia okrętu swój poemat, tak on wynosi z Oryjentu całą biblijotekę dzieł Magów, spółczesnych Daryjusza, Kserksesa, Cyrusa, Kambizesa, i przed samą rewolucyją ogłasza drukiem w Europie pomniki perskiéj religii. Od tego czasu kwitnie nauka języków oryjentalnych bez przerwy. Anglija właścicielka obojga Indyj przykłada się najwięcéj do ich umiejętnego zgłębiania. Francuz dociekł języka i religii parskiéj, Anglik *William Jones*, języka dawnych Hindu. Misyjonarze i podróżni wynoszą z dawnego świata coraz więcéj rękopisów, hymny, epopeje, prawodawstwa spisane w rymach, dramata i inne dzieła tyczące się filozofii,

teologii i filologii. Każdy nowo odkryty rękopis sprawia w lubownikach tej umiejętności taką radość, jakiéj doznał Petrarka na widok całkowitego Homera. Czém Laskaris i bizantyńscy wychodźcy byli dla odrodzenia greckiego, tém stali się William Jones i Anquetil Duperron dla odrodzenia oryjentalnego ducha. W piérwszym zachwycie obiecywali oryjentaliści z azyjatyckiéj starożytności głębszą niż z greckiéj rozwinąć filozofiją i poezyję. Przecie dotychczas zachodzi wątpliwość, czyli Orfeusowi Vyasa, Sofoklesowi Kalidasa, Platonowi Sankara podoła. Te badania zbliżyły nowoczesny Oryjent do Europy, przezco powstała między obojgiem jakaś wspólność pomysłów. Oryjent nawzajem przestaje być martwym jak dotychczas i przyjmuje europejską oświatę. I jakież nowe przekształcenie wyda takie zetknięcie się obu światów? Nietylko handel, odkrycia i podróże morskie zbliżyły w piętnastém stuleciu Europę do Azyi, nawet sztuka i umiejętności zwróciły się do swéj piérwotnéj kolébki. Jak Portugalczykowie odkryciem przylądka Dobréj Nadziei to zetknięcie się zdziałali, tak też uświetnili tę epokę dziełem poetyczném Luzyjadą, w którém wszelka woń Portugalii, złoto, mira i kadzidło Lewanty z niejedną łzą Zachodu połączone. Po raz piérwszy europejska poezyja przenosi się za Śródziemne morze. Wspomnienia Grecyi i chrześcijańskiego świata, towarzyszą awanturniczemu poecie do staro-azyjatyckich mórz, nietkniętych dotychczas żadném wiosłem. Obrazy, nadzieje, uciechy i smutki Zachodu pojawiają się w około niego i właśnie dla tego poemat Kamoensa jest prawdziwą pieśnią połączenia Azyi z Europą. Równie jak przy odkryciu Ameryki i drogi żeglarskiéj do Indyi, ziemia zadrzała od okrzyków: ląd!—tak czujemy przy każdym wiérszu Luzyjady zbliżanie się okrętu ludzkości do brzegów, które lat tysiące przeczuwała, a przecież nie odkryła! Zdaje się, że oddychamy żywotniejszém powietrzem, budzącém ducha ludzkości do nowych czynów. Poemat ten jest głęboki jak morze, i jak morze łączy dwa przeciwległe brzegi. Ja zawsze wielkie upodobanie miałem w Kamoensie, wszystko w nim do mnie przemawia: życie, charakter, szlachetne serce i dziwię się, że jego imię u nas tak rzadko wspominane. Nie znam żadnego z dawniejszych poetów zbliżonego więcéj do naszego czasu, któryby równie jak Kamoens większą część uczuć i pomysłów istniejących w naszém stuleciu z siebie rozwinął. Jego epos bez bitew i oblężeń przedstawia odwieczną walkę ludzi z naturą, a nie jestżeto duch naszego czasu? Przylądki, burze, morza ulégają w jego dziele przemocy ducha, którego powstrzymać usiłują; nawet Tassa poemat nie przedstawia lepiéj téj walki, dla nas jest on za romantyczny; niemniéj też i Ariosta nieśmiertelne dzieło, bo gdzież dzisiaj szukać wdzięku, słodyczy, wesołego uśmiechu ostatniego z Trubadurów! Dante i cały wiek średni jeszcze więcéj są dla nas obcy. Tylko Luzyjada szesnastém stuleciem sięga w nowsze czasy.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 50. i obejmuje: 1) Przydatność rośliny kłosówka zwanéj na łąki sztuczne. 2) Jeszcze słowo o przemianie owsa w żyto. 3) O bezwzględném ubieganiu się za zyskiem z gospodarstwa wiejskiego. 4) Skład betonu czyli pewnego rodzaju wapna do fundamentów, jego przydatność i użycie w zwyczajném budownictwie. 5) Literatura.

Ner. 24. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Poezyje Bohdana Zaleskiego. 2) Kobieta. (Dokończenie). 3) Hausmajster wiedeński.

Z Warszawy. Niezmordowany zbiéracz Kaz. W. Wójcicki, zaledwo w świat puściwszy swój *Teatr starożytny*, wydał znowu w czterech tomach: *Zarysy domowe*. Jestto niejako ciąg dalszy jego *Gawęd i obrazów*, wydanych w r. zeszłym podobnież w czterech tomach. Treść obecnego dzieła, składa się z podań życia szlacheckiego i ludu, z szczegółów historycznych, bijograficznych, opisowych, domowego pożycia i biblijograficznych. Pod tą ostatnią rubryką przedrukował autor *Figliki* Reja z Nagłowic, ciekawą rzadkość biblijograficzną. — Józef Paszkowski, którego wcale niezłe utwory poezyjne czytujemy w *Biblijotece warszawskiéj*, wydał w jednym tomie *Poezyje oryginalne i tłumaczone*. Z oryginałów umieścił kilka ulotnych utworów, z tłumaczeń płody Byrona, Szyllera i Goethego. — Historyje Zofii Olelkowiczównej księżniczki Słuckiéj, natchnęła równocześnie dwóch pisarzy naszych do skreślenia jéj w romansie historycznym: J. J. Kraszewskiego i Józefę O., autorkę *Piérścionka*. Piérwszy wydał już swoje dzieło pod nazwą: *Ostatnia z książąt Słuckich, kronika z czasów Zygmunta III.* (Wilno 1841), drugiéj romans ma wyjść niebawem na widok publiczny.—Ulubionych *Przypowieści i Bajek* Stanisława Jachowicza ogłoszono szóste wydanie. — Liczne dziennikarstwo warszawskie pomnożyć mają znowu dwa nowe pisma czasowe: *Jutrzenka* Piotra Dubrowskiego, mająca wyłącznie być sławiańszczyźnie poświęconą i wychodzić dwa razy na miesiąc, w połowie w rossyjskim, w połowie w polskim języku, i *Roczniki krytyczne* Henryka Lewestama, dwa razy na tydzień zapowiedziane. Piérwszy z nich p. Dubrowski, zamieszkały w Warszawie literat rossyjski, zamieszcza często w pismach petersburskich doniesienia o polskiém piśmiennictwie, a w warszawskich o rossyjskiém. — *Biblijoteka warszawska* wychodzić będzie i w roku następnym. Cieszymy się, że nie ustaje to ze wszech miar dobre i niezawodnie najlepsze z pism warszawskich, i jeżli czego jeszcze życzyćby mu należało, to polepszenia oddziału krytycznego, który często nader jest miernym, jak bardzo sprawiedliwie czyni uwagę p. Kraszewski w jednym z ostatnich numerów *Tygodnika Petersburskiego*.

Wielki los padł dla teatru! Główny numer wygrywający majętność Lhota - Genitszkowa na loteryi, którą dnia 27go listopada ciągniono, wygrał pan Forti, c. k. pensyjonowany śpiéwak opery nadwornéj. Numer 80,396 był liczbą, która właścicielowi loteryjnego biletu 80.000 złr. m. k. przyniosła. Rzadko komu tak pięknie los zaśpiéwa!

Fundosz pensyi dożywotniéj dla aktorów wrocławskich. Z Wrocławia pod dniem 22. listopada donoszą: »Na uczcie wieczornej, którą onegdaj na cześć tutejszego towarzystwa aktorów w teatralnym *foyer* wyprawiono, wszczął tymczasowy dyrektor mowę o założeniu funduszu pensyi dla aktorów. Pomysł ten przyjęło zgromadzenie z powszechną pochwałą, i spodziéwać się można, że wkrótce uskutecznionym będzie.«

Najzyskowniejszą profesyją, jest po-dziś dzień profesyja śpiéwaka. Obliczono, że li tylko piérwsi tenorzyści, którzy po wszystkich teatrach europejskich, zacząwszy od San Carlo w Neapolu aż do teatru Queens w Londynie, tudzież od królewskiego teatru w Lisbonie aż do teatru cesarskiéj opery w Petersburgu śpiéwają, rocznie w przecięciu 7,500,000 franków pobiérają. — Śpiéwak występujący z konserwatoryjum, który głosem swoim do wysokiego *C* dociągnie, nosi już w swojém gardle 50,000 franków rocznego dochodu.

Dwóch Anglików, to jest: Young i Delambre, wynaleźli nową bardzo sztuczną machinę do składania czcionek, która ruchome typy w wyrazy składa, co dotychczas sam tylko człowiek mógł uskuteczniać. Lecz i ta machina bez składacza obejść się nie może, gdyż takowa li tylko wyrazy składa i jedne obok drugich ustawia, ale właściwych wierszy czyli rządzików, stanowiących szpaltę gazety lub stronicę książki, utworzyć nie może. Machina ta złożona jest z tylu fug (*grooves*), ile abecadło ma głosek. Klawisze wkładają czcionki w te fogi i tworzą z nich wyrazy; przyczem składacz czcionek zajmuje się li tylko układaniem rządzików, przezco podług zdania wynalazców oszczędza się siedm ósmych części roboty. Utrzymują oni, iż machiną tą można w jednéj godzinie 12 do 15,000 czcionek ułożyć. Przypuściwszy więc, iżby składacz potrzebował jeszcze drugą godzinę na ułożenie tych wyrazów w przynależne rządziki, tedy możnaby we dwu godzinach skończyć robotę, do któréj składacz podług teraźniejszego sposobu, przynajmniéjby ośm godzin potrzebował.

Działo maltańskie w Towrze. Między ocalonémi przedmiotami zgorzałéj zbrojowni w Londynie, jest tak zwane działo ze spiżu, które Napoleon razem z ośmią chorągwiami w r. 1798 dla dyrektoryjum był posiał. Atoli okręt dostał się w ręce Anglików, a z nim i to sławne, wielą figurami, przewybornej roboty przyozdobione działo. Najcelniejszą ozdobą jego jest głowa wielkiego mistrza przez jenijuszów niesiona, koran, turban, tudzież liściem uwieńczona głowa artysty. Podobnież i na lawecie wyryte są figury alegoryczne, a koła jego przedstawiają dwa słońca.

Żegluga napowietrzna. Niejaki pan Comaschi, który wynalazł sposób stérowania balonem, odbył niedawno w Lugdunie próbę, która, jeźli francuzkim dziennikom zawierzyć można, zupełnie się powiodła. W dzień ten pogoda nie sprzyjała, niebo zakrywały chmury; przytém padał dészcz i wicher się srożył. Żeglarz napowietrzny przeprawił się przez Saonę, i stérując ku Zachodowi, ciągle liniję krzywą określał, wrócił znowu nad rzékę, i spuścił się niedaleko miejsca, z którego był się wzbił w górę. Balon jego nie miał formy cylindrowéj, ale romboidalną.

Lew zwiérzęciem domowém. Pewna młoda dama w Paryżu, mieszkająca w hotelu *des Etats unis* przy ulicy *des Victoires*, ma u siebie młodego lwa z Oranu, który zupełnie jest oswojony i z psami, kotami i dziećmi igra, na widok konia zaś, lękliwym się okazuje.

Dziesięć mostów w Paryżu, od których się płaci mostowe, kosztowały w ogóle 8,440,000 franków, a teraz niosą 8,510,000 franków rocznego dochodu.

Plaut, starożytny komik w dziele swojém *Trinummus* opisuje naród, który ma wielkie podobieństwo do teraźniejszych korrespondentów pism publicznych. I tak mówi on: »Udają oni, jakby wszystko wiedzieli, a nic nie wiedzą. Wiedzą co kto myśli lub myślić będzie. Wiedzą co król szepnął do ucha królowéj, wiedzą, jak Jowisz z Junoną żartował. Co się nie stało i nie stanie, i o tém wiedzą. Czy oni kogo słusznie albo niesłusznie chwalą lub ganią, to ich bynajmniéj nie obchodzi; największą zaś przyjemnością jest u nich to mniemanie, że wszystko wiedzą.«

Lafayette był tak wielkim entuzyazmem dla konstytucyi rządu Ameryki Północnej przeniknięty, że pierworodnéj córce swojéj podług Stanów Zjednoczonych dał na imię: Wirginija. Gdy doktorowi Franklinowi o tém oznajmił, rzekł tenże: »Życzę wpanu tyle dzieci, abyś imiona wszystkich naszych prowincyj na rodzinę swoję mógł przenieść; z tem wszystkiém, niektóre z nich niebardzo są dźwięczne, i tak nie wiém, czy pan Konektykut lub panna Massachusetts ze swoich imion kontente będą.«

Najsławniejszy kucharz. Careme, najsławniejszy kucharz w naszym wieku, zmarły niedawno w obowiązku |w domu Rothszyldów w Paryżu, przed śmiercią swoją, zajął się wydaniem wszystkich dzieł swoich, z którego to powodu jeden z dzienników francuzkich donosi o nim szczegóły następujące: »Carême nie był zwyczajnym kucharzem, podobnym do tych, jacy się zwykle w jego profesyi zdarzają; uważał on swój stan za umiejętność, i podobnie jak każdy artysta zgłębiał go z wielką starannością. Znał się na wszystkiém, nietylko na nieodzownych potrzebach swéj profesyi, ale nawet na chemii, jéj rozkładach, na ziemiaństwie, botanice, i t. p. Zgłębiał ziemiopłody wszystkich klimatów europejskich, i na tém polu pozostawił liczne spostrzeżenia. Sługiwał tylko po królewskich i książęcych dworach. Wyszedłszy z domu księcia Talleyranda, był dwukrotnie nadkuchmistrzem cesarza Aleksandra w czasie pobytu sprzymierzonych w Paryżu, późniéj w takimże samym charakterze służył u następcy tronu angielskiego, Jerzego IV., u lordów Londonderry i Castelreagha, u księcia Wirtemberskiego, księcia Bagrationa, a gdy w końcu jego zawodu król angielski i pan Rothszyld, czynili mu bardzo zyskowne propozycyje, z przywiązania do Paryża przyjął u pana Rothszylda, chociaż nierównie pośledniejszą posadę. Lady Morgan w pobieżnych ale dobitnych zarysach, przekazała potomności bijografiję tego sławnego człowieka. Pisma jego mogą służyć za skazówkę dla młodych jego kolegów w labiryncie téj trudnéj sztuki.«

Ropucha zabójcą. Na folwarku Brech, który gęstémi krzakami jest zarośnięty, pasł swobodny pasterz w miesiącu październiku trzodę, a gdy słońce w południe mocno dogrzéwać zaczęło, przyległ w cieniu rozłożystego dębu i twardo zasnął. Tegoż samego dnia wieczorem powróciła trzoda bez pastérza do domu. Gospodarz tym wypadkiem zdziwiony, wziął czém prędzéj kilku domowników, i pospieszył w las szukać pastérza. Jakoż wkrótce go znaleziono leżącego pod nadmienionym dębem; ale jakież nie było ich zdziwienie, gdy na twarzy jego ujrzeli ogromną ropuchę, która się tak mocno wssała, że ją zaledwie oderwano! Gospodarz sądząc, że nieszczęśliwy tylko zemdlał, starał się go ocucić, lecz nadaremnie, pastérz już nie żył; znakiem, że mu ropucha cielskiem swojém oddech zaparła i tak go udusiła. Wraz z zwłokami nieszczęśliwego zaniesiono do domu także zabójcę. Zabobonne pospólstwo rozniesło o tym wypadku różne baśnie. I tak jedni upatrują w tém nadzwyczajném ziemno-wodném zwierzęciu zaklętego złośliwego ducha; drudzy upiora, który śpiących pod gołém niebem napada, zadusza, a potem z nich krew wysysa. Z tém wszystkiém osławiony zabójca ten jest istotną ropuchą — *rana buffo L.*, ale tak przepysznym egzemplarzem swego grzegotliwego rodzaju, jakiego ani stawy *des Jardins des plantes*, ani sztuczne bagna w Kensington dotychczas nie wydały. Ropucha ta ważyła pięć funtów wiédeńskich, a przechowana w spirytusie, ściąga na siebie uwagę.

(Dr. K. csy.)

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.